

Grzech wołający o pomstę do nieba

24 marca 2015

Dorota Wellman, znana dziennikarka telewizji śniadaniowej, ciepło uśmiecha się do widzów z ekranów telewizorów. Jakiś czas temu została Króliczką Playboya i na tę okoliczność udzieliła pismu wywiadu. Tomasz Golonko z portalu natemat.pl rzecz opisuje następująco: „Prezenterka na sesję w negliżu co prawda się nie zgodziła, natomiast odkryła to, co naprawdę jest sexy – myśli. O czym konkretnie? W wywiadzie dla miesięcznika ocenia kobiety polskiej polityki i nie kryje rozczarowania ich postawą.” Co rozczarowuje panią z telewizji i co czyni ją tak seksowną w oczach dziennikarza z portalu Tomasza Lisa? Oddajmy głos jej samej: „Pani Kopacz nie jest potrzebna żadna „Viva” ani żadna „Gala”. Nie jest jej potrzebny także wywiad w telewizji, w którym opowiada o bolących nogach na wysokich obcasach, ani o tym, że robi brzuszki. Powinna powiedzieć co robi z górnikiem i co robi z roszczeniami, które będą narastać. I albo będzie panią Thatcher, albo zakopie panią Kopacz w pamięci historycznej.”

Jestem pełen podziwu. Seksowna na umyśle Dorota Wellman i słowami potrafi się bawić, i wykazać należyta klasową czujność w sprawie cholernych roszczeniowców. Do tego wzruszająca, nieugaszona nostalgia za Margaret Thatcher, które to uczucie kojarzymy na ogół ze środowiskami okołoprawicowych wyznawców ideologii wolnego rynku. A przecież mogło być jeszcze dowcipniej. Widz oglądający telewizję przy porannych kiełkach lub kanapce z paprykarzem szczecińskim, przy kawie instant z dużą ilością cykorii za dziesięć złotych z dyskontu lub popijający herbatę, której kilka gramów kosztuje kilkadziesiąt złotych, mógłby np. usłyszeć, że premier Kopacz powinna zakopać górników. Dajmy na to – w sztolniach.

No ale dziś nasz system nie jest już aż tak bezwzględny. Nie

musi. Ewentualnie postraszy Śląsk policyjnymi łufami. Nie są to jednak łufy czołgów. Poza tym ostateczny argument władzy i kapitału wobec większości Polaków od dobrej dekady brzmi „wegetuj albo emigruj”. Na pożegnanie serdecznie się do opuszczających kraj uśmiechnie jakaś pani Dorota z telewizji, której wewnętrzne ciepło aż bije po oczach. Każdy system bije na swój sposób. Kłopot w tym, że jeśli nawet wyjedziesz na zmywak, z obrzydzeniem myśląc o takich funkcjonariuszach mediów jak pani Wellman, to niewykluczone że stamtąd będziesz kibicował Korwinowi, czyli wizji „naprawdę wolnego rynku”. Tak przesiąkłeś tutejszą atmosferą.

Na marginesie: jak to nie mieliśmy polskiej Margaret Thatcher? Mieliśmy. Polska Thatcher nazywała się Jerzy Buzek. Jego rząd przejechał się po Polsce walcem tzw. reform na tyle skutecznie, że wywołał pierwszą w okresie postkomunistycznym dużą falę emigracji. Prawda – nie trzeba było rozganiać związkowców, bo znaczą ich część, tę solidarnościową, pan premier miał za sobą. A i duża część wyborców nie posiadała się z radości, że wreszcie rządzą dobrzy, „nasi”, sól umęczonej ziemi – prawica. „Buzkiści” walcowali społeczeństwo czterema reformami, a znaczna część wyborców klaskała w patriotycznie napuchłe łapki i witała walec kwiatami, oczekując na prawy liberalizm z ludzką twarzą. Jeśli jeszcze gdzieś żyją ludzie, którzy wtedy głosowali na Akcję Wyborczą „Solidarność”, a nieco później musieli racjonalizować swój wybór, przyglądając się opłakanym skutkom polityki społeczno-gospodarczej, edukacyjnej i zdrowotnej owej nieszczęsnej ekipy, to niestety szczerze im nie współczuję.

Weźmy inny przykład: o. Adam Szustak, wzięty kaznodzieja. Cieszy się popularnością nie tylko w kręgach bogatych i bogobojnych. Miałem ostatnio okazję wysłuchać w Internecie pogadanki o. Szustaka OP zatytułowanej „Nie posyłajcie dzieci do szkoły”. Tych dziewięć minut wartych jest odsłuchania (materiał dostępny tutaj).

O czym mówi dominikanin? Że edukacja publiczna i powszechny

obowiązek szkolny to zło, że genialni samoucy nie potrzebowali szkoły, że najlepszy jest homeschooling (edukacja domowa), a kształcenie ogólne to marny pomysł, bo najlepsza jest (wąska) specjalizacja. W pogadance przemieszane są tezy schlebiające gustom i przekonaniom sporej części dzisiejszej prawicy, które wyrażają się w krytyce państwa, z wątkami wartościowymi, choćby takimi, że nie należy dziecka nadmiernie przeciążać nauką albo że znaczna część dzisiejszej wyższej edukacji jest wyższa tylko z pozoru i nie gwarantuje żadnego realnego przełożenia na dalszą karierę zawodową.

Dziewięć minut dominikańskiej demagogii wymaga co najmniej dziewięćdziesięciu minut sprostowań, wzięcia pod lupę każdego ze zdań, wypowiedzianych wartko i z wielką pewnością siebie. Szczególnie bogatym i bogobojnym łatwo dziś przychodzi deprecjonowanie szkół publicznych (ach, ta cudowna AWS-owska reforma szkolnictwa!), bo bez trudu znajdują dla swoich dzieci furtkę w postaci homeschoolingu i szkół prywatnych. Słowem, uciekają oni przed tym, co w edukacji upichcił rząd, jaki wielu z nich popierało. Rzecz jasna, aktualny stan rzeczy jest daleki od doskonałości i wymaga krytyki, ale na ogół proponuje się nam zastąpienie dżumy cholera. Rzadko kiedy krytyka idzie w parze z refleksją, że potrzebujemy choćby więcej szkół na prowincji o wyższym poziomie – dla zwykłych dzieci ze zwykłych rodzin. Niestety, póki co media donoszą o tym, że samorządy przymierzają się do zamknięcia kolejnych dwustu wiejskich szkół w skali kraju.

Szustak nie musi oczywiście niczego wiedzieć o systemie szkolnictwa publicznego w Finlandii, albo o tym, że instytucjonalną siłę zachodnich państw buduje ich wyższe szkolnictwo, bo nie ma własnego kapitału ekonomicznego bez własnego kapitału kulturowego. Nie musi nic wiedzieć o tym, że szkolnictwo wymaga np. dobrego skoordynowania z transportem publicznym. Nie musi nic wiedzieć o tym, że realny kapitał kulturowy, żeby był udziałem znacznej części społeczeństwa mniej bogatego i mniej bogobojnego (czyli znakomitej

większości Polaków), wymaga właśnie dobrej, powszechnej edukacji, a nie zamykania kolejnych szkół. Nie musi wiedzieć, że receptą na obecną sytuację nie jest elitaryzm homeschoolingu oraz szkół dla bogatych i bogobożnych, ale systemowa reforma istniejących instytucji i struktur, która zapobiegnie z jednej strony coraz bardziej przepełnionym klasom, a z drugiej rosnącemu rozwarstwieniu edukacyjnemu. Nie musi też wiedzieć, że nauczyciele są coraz bardziej urabiani przez wskaźniki i parametryzację, bo kult wydajności już dawno panuje nie tylko w świecie gospodarki, ale i w szkolnictwie.

Kaznodzieja nie musi wreszcie wiedzieć o tym, że pewien zasób wiedzy poza wąską specjalizacją umożliwia lepszą znajomość świata, że wreszcie dziedzina, którą sam się zajmuje, czyli współczesna biblistyka, jest interdyscyplinarną syntezą bardzo wielu nauk humanistycznych, od lingwistyki, przez różne działy historii, po nauki społeczne. I nie mogłaby powstać, gdyby w Kościele poważnie traktowano paplaninę o. Szustaka o dobrodziejstwach wąskiej specjalizacji.

Zresztą, gdyby nawet się dowiedział i zmienił kiedyś zdanie, sporo straciłby zapewne na popularności w kręgach, które obsługuje. Dodam: nie mam nic przeciw jego ewangelizacyjnej działalności. Ale obskurantyzmowi w kaznodziejskich szatkach, który schlebia i „pobożnie” sankcjonuje wyłącznie interesy bogatych i bogobożnych – mam do zarzucenia wiele.

Ktoś zapyta: co łączy Dorotę Wellman i o. Adama Szustaka? Po pierwsze: współtworzą pstrokatą mozaikę ideologii sankcjonującej realny liberalizm. Ale jest jeszcze druga kwestia, która odnosi się nie tyle do nich, co do ich odbiorców. To „grzech wołający o pomstę do nieba”: bezmyślność karpi głosujących za przyspieszeniem Bożego Narodzenia. To problem bezmyślności czy może braku refleksji ludzi, którzy łykają te poglądy jak gęś szperkę i nie wiedzą, że przyklaskują dalszemu pogarszaniu własnej sytuacji życiowej. Ale najpierw uwaga ogólna. W dyskusjach ze zwolennikami współczesnej odmiany liberalizmu gospodarczego często słyszę

pytanie: gdzie widzisz ten rzekomy kult wolnego rynku i liberalnych, coraz bardziej indywidualistycznych strategii przetrwania? Otóż dźwięki tej muzyki docierają do uszu przeciętnego Polaka z najróżniejszych stron. Sympatycznie uśmiechnięta Dorota Wellman opowiada o tym, że Polsce trzeba Margaret Thatcher. Ojciec Szustak przekonuje owieczki, że publiczna edukacja nadaje się tylko do zaorania: wynajmijcie nauczycieli dla swojego dziecka albo sami nauczcie się matematyki! – powiada. I tu kryje się potężne kłamstwo: owszem, bogaci rodzice wynajmą swoim dzieciom nauczycieli, ale biedniejsi rodzice nie uczą się przecież masowo i matematyki, i dydaktyki.

Ta symfonia rozlega się zewsząd i sący się do uszu Polaków, gdy ci jedzą śniadanko lub idą do kościoła. To tu, to tam, by zacytować barda, ktoś urabia masy wedle przekonań korzystnych dla bardzo wąskiego grona. Skutecznie urabia. A rodacy patrzą na państwo, jego degrengoladę i korupcję, doskwierają im jego braki i myślą sobie: no tak, to nie działa, oni pewnie mają rację. Przypomina to sytuację, w której małe ogłupione zwierzątko kręci się w kołowrotku, wytwarza prąd, i raz po raz dostaje silny bodziec elektryczny, motywujący do jeszcze szybszego zasuwania przed siebie, czyli donikąd. I znów: często jedyny sensowny skok poza logikę tego kieratu to emigracja. Uciekamy, zamiast się zbuntować i zacząć zmieniać to, co jest tutaj. Nie krytykuję emigrantów – stwierdzam fakt.

Pojawia się pytanie o możliwość zmiany. Nie powiem tu niczego niezwykłego. Człowiek jest istotą, której działanie zależy od myślenia. A sądzę, że duża część dzisiejszego bezmyślnego przyjmowania paplaniny reprezentantów uprzywilejowanej kasty wynika z faktu, że ludzie naprawdę nie znają alternatywy. Nie mają kontrargumentów wobec tez Wellman czy o. Szustaka. Nawet jeśli coś im się nie zgadza – milczą, bo nie wiedzą co odpowiedzieć, bo dla świętego spokoju nie chcą spotkać się z oskarżeniami o „socjalizm” czy „roszczeniowość”. Za to zawsze łatwo i przyjemnie włączyć się w szczucie i nagonkę na tych,

co jeszcze potrafią się postawić. Lepiej od tego się biedakom nie robi – ale przynajmniej zyskują poczucie, że są po dobrej stronie. I chyba szczerze wierzą, że gdy zaklną przed telewizorem na górników, nauczycieli, rolników czy pielęgniarki, to zaczną własny los „jedynie słusznymi” opiniami. Wielu zdaje się, że dzięki odpowiednim poglądom jak równy z równym zjedzą sobie poranną kanapkę z Dorotą Wellman i będą, podobnie jak ona, „seksownie” myśleli.

A czego potrzeba do zmiany? Szanowny prowincjusz, szanowna prowincjuszko, szanowny młody wykształcony kredytowicz z wielkiego miasta – podpowiem ci prostą rzecz. Zaopatrz się w argumenty, które pozwolą ci zaśmiać się w twarz funkcjonariuszom władzy i kapitału, i tym z telewizora, funkcjonariuszom oligarchii, i tym z przykościelnej salki, schlebiającym bogatym i bogobojnym. I tym z TVN, i tym obsługującym internetowe dyskusje. Skonfunduj ich własną wiedzą i argumentacją. Niech zrozumieją, że jedna głowa mniej jest ich własnością.

Kościół katolicki zna grzechy wołające o pomstę do nieba. O jednym z nich w polskim Kościele mówi się całkiem sporo: to grzech sodomski. Do tego dodajmy umyślne zabójstwo. Ale są dwa grzechy, które pewnie nieprędko staną się przedmiotem jakiegokolwiek kościelnej akcji billboardowej: to uciskanie ubogich, wdów i sierot oraz zatrzymywanie zapłaty pracownikom. A przecież ten ostatni grzech jest dziś polską normą i trudno mi uwierzyć, że duchowieństwo o nim nie wie. Prywatnie, zupełnie niekonfesyjnie dodam kolejny, wspomniany wyżej „grzech”, nasz dzisiejszy „grzech zaniechania” i bezmyślności: powszechne przyzwolenie na antyspołeczną propagandę, uprawianą kosztem tych, co mniej mogą i mniej mają. Czyli, najprawdopodobniej, także Waszym kosztem, szanowni czytelniczko i czytelniku.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)